

Murzyni wyciągają zabitego hipopotama z wody.

W DZIEŃ ZADUSZNY.

„Oddaj liczbę włodarstwa twego, albowiem już włodarzyć nie będziesz“ *(Łuk. XVI).*

„Był niektóry człowiek bogaty, który miał włodarza, a ten był odniesion do niego, jakoby rozproszył dobra jego. I wezwał go i rzekł mu: Cóż to słyszę o tobie? Oddaj liczbę włodarstwa twego, albowiem już włodarzyć nie będziesz.“

(Łuk. XVI).

Już włodarzyć nie będziesz.

Włodarzu! już włodarzyć nie będziesz! wołają do nas w dniu zadusznym nasze cmentarze i mogiły; mogiły ludzi wszelkiego wieku i stanu, znanych i nieznanych, kochanych i obojętnych. Włodarzu pamiętaj, że tylko włodarzem jesteś!

Dlaczego ogarnia nas lęk? Inni pomarli, ale my jeszcze żyjemy. Życie, mienie, miłość naszych blizkich, nasz urząd, nasze zatrudnienia, to są przecież jeszcze rzeczy *nasze?...* — Włodarzu! „postanowiono ludziom raz umrzeć.“

Dziwna leży siła w tem kazaniu, które nam prawią groby w dniu zadusznym. Bo idziemy na cmentarz wszyscy: wierzący i niewierzący, silni i słabi, idziemy, choć może nieraz te odwiedziny grobów kończą się dla nas wyrzutami sumienia,

Wyrzuty sumienia, to głos Boży. Wyrzuty sumienia wtedy, gdy jeszcze jest czas do naprawienia złego, któreśmy popełnili, to łaska, to miłosierdzie Boże nad nami.

Więc włodarzu, do którego kiedyś Pan ozwie się słowy onego człowieka ewangelicznego: *„oddaj liczbę — albowiem już włodarzyć nie będziesz“*, spójrzmy dziś w naszą przeszłość i zróbmy rachunek sumienia z naszych obowiązków względem misyj.

Samo pytanie: czy mamy obowiązki względem misyj katolickich w krajach pogańskich roztrząsaliśmy już nieraz, dziś zapytajmy, czyśmy je spełnili. Niech zaczną mówić fakta.

Protestanci, którzy sami przyznają, że nie wierzą wogóle w dobro swej sprawy, wysyłają rocznie około 112,000.000 kor. do swoich misyj; katolicy, prawie o wiele liczniejsi, wysyłają $4^1/_2$ raza mniej, z czego wynika, że każdy protestant czyni przeszło *sześć razy* więcej dla sprawy misyjnej, niż każdy katolik.

To, co mówimy o Europie, można odnieść także do Ameryki.

Spójrzmy na dokładną statystykę misyjną, a przekonamy się, że Ameryka wysyła do Afryki przedstawicieli swoich najrozmaitszych sekt, zaopatrując ich najobficiej w środki materyalne, aby tam mogli osiąść ze swoją rodziną, założyć gospodarstwo i czasem przy sposobności czynić, co się da dla rozszerzenia herezyi.

Czy nasze grosze, ofiarowane na misye, idą na podobny użytek? Kto czyta listy misyonarzy ten wie, czem jest misyonarz katolicki w krajach pogańskich i jak zużytkowuje grosze mu nadesłane.

Sodalicya św. Piotra Klawera ma częstokroć sposobność przekonywania się, nietylko o zużytkowaniu pieniędzy wysłanych misyonarzom, ale nawet przedmiotów, jakie im od dobroczyńców wysyła. Z przedmiotów tych nie zostaje nieraz w stacyi misyjnej ani strzępek, gdyż misyonarz jest ojcem murzynów i jak ojciec pamięta najpierw o potrzebach dzieci, nie o swoich.

Misyonarz, to jest człowiek Boży, człowiek, który oddawszy Panu Bogu wszystko, co miał, otrzymał od Pana Boga w zamian tę najwyższą łaskę, że ze św. Pawłem powtórzyć może: „żyję już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus.“ Misyonarz katolicki, oświecony łaską Ducha św., nie marnuje niczego: ani czasu, ani pieniędzy i dlatego staje się tak dobrym szafarzem, że mu z całą ufnością możemy powierzyć naszą jałmużnę.

Misyonarze, to zakonnicy, którzy ślubowali ubóstwo i za żadne skarby świata nie złamaliby swojego ślubu, ale misyonarze, to ojcowie *licznych* rodzin.

Św. Piotr Klawer nawrócił w czasie swojej 36-letniej działalności przeszło 300.000 murzynów; o naszym rodaku, ś. p. O. Józefie Markiewiczu T. J., mówią, że nawracał rocznie około 2.000 pogan.

Czyż nie *liczne* mieli oni rodziny?

Nie wszystkie dzieci misyonarza potrzebują jego wsparcia materyalnego, ale tych, którzy nie potrzebują jest mniej, niż potrzebujących.

Czyśmy zawsze pamiętali o tem, że jest naszym obowiązkiem, obowiązkiem dzieci *wspólnego* Ojca, abyśmy się troszczyli w miarę możności o to, aby misyonarz mógł wykonywać swoje zadanie, mógł rozszerzać Królestwo Boże, o które wszyscy prosimy w modlitwie Pańskiej?

O gdybyśmy wiedzieli, jakie skarby błogosławieństw gromadzi Apostoł Boży nad swoją głową, gdybyśmy widzieli wiekuistą chwałę i niezmierzone wieczne szczęście tych, co po cmentarzach afrykańskich osamotnieni leżą, tobyśmy im pozazdrościli tak gorąco i tak serdecznie, żebyśmy potem niczego już nie pragnęli, tylko ofiarowania się Panu Bogu na służbę. I jeśli Pan Bóg zażąda ofiary z naszego dziecka, które pragnie stać się misyonarzem Wiary świętej — złożymy ją; jeśli Pan Bóg zażąda wyrzeczenia się cząstki dóbr materyalnych, które nam dał w dzierżawę, na rzecz misyj — złożymy ją, a jeśli Pan Bóg zażąda naszego serca i rozpali je miłością dla Swojej sprawy, to nie ustaniemy się modlić, aż nam da wysłuchanie i pociągnięty naszem błaganiem da nam zapłatę zbytnie wielką, zapłatę Apostołów.

ABISSYNIA I ABISSYŃCZYCY.

CZARNE KWIATY.

Różne szczegóły o Abissynii i jej mieszkańcach.

Przez O. Józefa Baetmann'a, misyonarza Lazarystę.

(Ciąg dalszy).

IX.

Zajęcia specyalne każdego członka rodziny.

Mówiłem wyżej o ubiorze i charakterze dzieci. Zaledwie zejdą z pleców macierzyńskich, rozpoczynają one życie filozoficzne małych pastuszków.

„Jak pięknem jest dziecię ze swym słodkim uśmiechem, swą słodką dobrą wiarą i głosem, który chce wszystko wypowiedzieć!“ *(Wiktor Hugo).*

Poeta, malując ten portret, nie miał prawdopodobnie przed oczyma biednych maleństw, latorośli pasterzy plemienia Irobów. Chłopcy udają się ze stadami w góry i powracają zaledwie wieczorem. Przyodziani czasem skórą koźlą, pokrywającą ich chude ramiona, pędzą życie bardzo monotonne, będące dla nich szkołą wszystkich nałogów. Dziewczynka idzie do lasu i przynosi wieczorem dużą wiązkę drzewa na wątłych plecach, albo udaje się do strumienia zaczerpnąć wody często mętnej, którą przechowuje w skórze koźlej o zwartych szczelnie brzegach, tak, że tworzy duży wór, prawie bukłak, który przenosi także na swych ramionach. Kobiecie przypada w udziale ciężka praca mielenia: zabiegi gospodarskie nie dotyczą jej wcale: żarna i dziecko — oto dwie jej wielkie troski.

Opisywałem już wyżej wiejską prostotę młynków abisyńskich, jest to całe zatrudnienie „dam“. Ani kuchnia, ani dzieci nie zaprzątają ich zbyt silnie. Mężczyzna wziął tu na siebie, co się nam wydaje właściwą dziedziną kobiet. On przedewszystkiem jest szwaczką: jego specyalnością jest krój i szycie ubrań; od dwunastego roku życia każdy Abissyńczyk uchodzi za mistrza we wszystkich robotach igłą. Igły są rzadkie tutaj, gdy się posiada jedną, chowa się ją, jak skarb, a nici dostarcza kawałek płótna; małe nitki, z których jest utkane, służą do nawleczenia grubej igły; wielką też jest radość tych biednych ludzi, gdy im damy igłę, dwa guziki i kika metrów nici. To cały majątek dla nich. Do mężczyzn także należy pranie. Idą do strumienia, biorą jedną po drugiej sztuki swej odzieży i poddają ją następującej operacyi: Wymoczywszy ją należycie, kładą ją na ziemi i tańczą po niej swemi czarnemi nogami, wywracają ją przytem na wszystkie strony, tak, aby każda sztuka została porządnie wyciśniętą i odzyskała swą białość pierwotną, nogi więc zastępują mu w tym wypadku szczotki, a zamiast mydła mają roślinę mydlącą. Gdy ubranie wydaje się dostatecznie czyste, wypłókuje się je, lub po większej części kładzie natychmiast na siebie i leżąc w trawie, wystawia je na gorące promienie „pompy“ słońca. Gdy jedna strona wyschnie, odwracają się na drugą. Oto, co się nazywa po prostu! Poza temi dwoma zatrudnieniami mężczyźni zajmują się jeszcze uprawą roli i wojną, swem rzemiosłem ulubionem.

X.

To i owo.

Mówiono swego czasu wiele o „chusteczkach do nosa Cholet'a“ utworze Botrel'a — otóż abissyńskie chustki do nosa

nader są jeszcze prymitywne i mniej pochwały godne, lecz za to pochodzeniem dawniejsze, rodowód ich bowiem sięga aż do ojca Adama! I gdy jeden z wodzów tutejszych uciera nosa, to chcąc zaszczycić kogoś z otoczenia, ociera palce o jego suknie.

Nie myją się nigdy, to prawda, iż nie wynaleźli jeszcze mydła, któreby wybieliło ich czarną skórę. Podczas ceremonii Chrztu św. przystają jednak chętnie na pokropienie i to kropidłem zgoła monumentalnem, tak, iż kapłan z trudnością obejmuje je oburącz; dnia tego, według ich mniemania, im więcej dostaną wody, tem dokładniej oczyszczeni będą z grzechów.

Pewna starowina, którą spowiadałem w wilię takiej uroczystości, prosi mnie:

— Ojcze, czy pozwolisz mi przystąpić jutro do Chrztu świętego?

— Toś ty nie ochrzczona? Jakże to? Przecież trzydzieści lat przystępujesz już do spowiedzi i Komunii św.?

— Tak jest, Ojcze, jestem już raz ochrzczoną, lecz to tak dawno temu!

Abissyńczycy są chronicznymi żebrakami, rodzą się chyba z rękoma wyciągniętemi do prośby! Trzymają się literalnie Pisma św.: „Proście a otrzymacie", i mój Ty Boże, dobrze na tem wychodzą! Nie ociągają się z powtórzeniem czterdziestu razy tej samej prośby, cierpliwość ich pod tym względem jest niewyczerpaną.

Jeden z nich przystępuje pewnego razu do misyonarza:

— Daj mi Ojcze pieniędzy!

— Dałem ci przecież wczoraj.

— To prawda.

— A więc?

— A więc daj mi dzisiaj także tyle!

— Czy nie wstydzisz się żebrać tak często?

— Posłuchaj Ojcze, co sobie pomyślałem: „I tak nie mam roboty, pójdę więc do Ojca i będę go prosił o pieniądze, jeżeli da, tem lepiej, będzie to czysty zysk, a jeżeli odmówi, nie stracę przez to nic!"

I jakże tu przeciwdziałać takiej logice?

(Ciąg dalszy nastąpi).

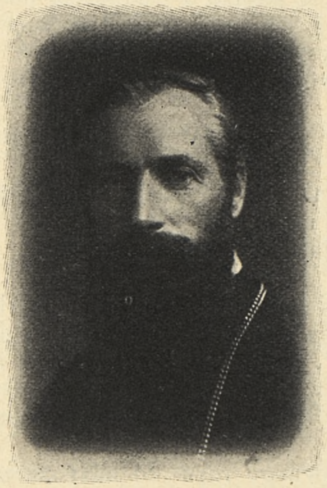
Życzenia Kapłana, przesłane Związkowi misyjnemu dla Afryki.

X. Kanonik A. D. pisze: „Niech Pan Bóg błogosławi Związkowi misyjnemu jak najobficiej, aby serc jak najwięcej się poruszyło do niesienia ofiar tym braciom naszym nieszczęśliwym!"

KORESPONDENCYA MISYJNA.

Uganda we wschodnio-angielskiej Afryce.

X. Biskup Hanlon, Wikaryusz apost. Ugandy, udziela Generalnej kierowniczce nader pocieszających szczegółów o rozlicznych stacyach misyjnych. Oto co pisze z St. Pierre z Nsambya:



X. BISKUP HANLON
Wikaryusz apostolski Górnego Nilu.

Pragnę dać kilka szczegółów z naszej misyi. Drugiej niedzieli miesiąca maja miałem szczęście otworzyć i poświęcić uroczyście nowy kościół w Kisumu, w punkcie krańcowym kolei żelaznej w Ugandzie, nad jeziorem Wiktorya. Trzeba było aż pięciu lat czasu, aby zebrać potrzebne fundusze do wzniesienia tej bardzo skromnej kaplicy.

Dziewięć mil dalej, w Agola, odbył się pierwszy Chrzest św. w tej okolicy. Był to chrzest młodej dziewczyny, która ma wkrótce wyjść za mąż za chrześcijanina. Będzie to pierwsze małżeństwo chrześcijańskie w plemieniu Wiktoryi Nyanzy. Oby przykład ten znalazł licznych naśladowców.

Chciałbym również opowiedzieć Pani nieco o naszej misyi, która stała się nader ciekawą wskutek znacznego napływu ludności z rozlicznych szczepów. Przy powstaniu jej, raczyła Pani życzliwą swą hojnością obdarzyć OO. Bouma, Grimshawa i Brandsma, pracujących w Kawirondo. Ci trzej dzielni apostołowie rozproszyli się obecnie. O. Bouma powrócił świeżo z Europy i został superyorem misyi w Ojala. Niestety, pomocnik jego zachorował w ostatnich czasach tak poważnie, iż musiał wrócić do ojczyzny. Wskutek tęgo O. Bouma dźwiga obecnie sam jeden cały ciężar tamtejszej pracy.

Nieco powyżej, na wzgórzach, w Kakemega, mamy również misyę założoną trzy lata temu. Po dwóch latach ciężkiej pracy doczekaliśmy się pomyślnego rozwoju tej misyi. Zdołaliśmy widocznie poruszyć serca. W miejsce nielicznych uczniów, jakich mieliśmy w początkach, garnie się ich obecnie przeszło 200 do naszej szkoły. Bardziej nieśmiałe dziewczęta nie uczęszczają regularnie, lecz w niedzielę przychodzą stale

w liczbie kilkuset na naukę. Nie pozostały więc bezowocnemi choroby i dolegliwości wszelkiego rodzaju, które księża nasi musieli znieść na wstępie w Kawirondo. Rzucone przez nich ziarna kiełkują w duszach i zapowiadają rychłe żniwo.

W Kisumu, o którem wspomniałem wyżej, jest nasza praca zupełnie innego rodzaju. Stacya ta jest siedzibą administracyi rozległego obwodu. Nie wolno przebywać w nim krajowcom, z wyjątkiem tych, którzy pełnią służbę rządową, nielicznym przemysłowcom, przedsiębiorcom kolei żelaznej, lub innych robót publicznych. Zamieszkują zatem Kisumu, prócz niewielu krajowców, Europejczycy i Indyanie. To też można łatwo wnioskować, jak wielu językami mówią mieszkańcy jednej wioski. Pomiędzy katolikami znajdują się Francuzi, Anglicy, Włosi i Niemcy. Prócz tych kilku języków europejskich, znać powinniśmy jeszcze język goanezyjski, indyjski, snaheli, luganda i lukaiwirondo. Często się zdarza, iż jednego księdza wzywa się do słuchania spowiedzi w czterech językach jednego dnia.

Podczas uroczystości otwarcia kaplicy w Kisumu, był dom nasz mimo deszczu szczelnie wypełniony tłumem różnoplemiennym; mieliśmy natenczas widomy i wspaniały obraz powszechności naszego świętego katolickiego Kościoła. Mężczyźni i kobiety różnych narodowości, z różnych części świata, z różnych plemion i szczepów zgromadzili się przed jednym ołtarzem, jednocząc swe modły, jako dzieci jednego Ojca. Odczuwało się wtedy, jak bardzo są z tego szczęśliwi i dumni. Najbardziej uszczęśliwionym był O. Brandsma, który przez długie lata odprawiał Mszę św. w małym nizkim pokoju.

Odwiedzę wkrótce Nakurn. Jest to wioska, przez którą przechodzi kolej żelazna z Ugandy. Spodziewam się wznieść tam niebawem kaplicę-szkołę. Zeszłego roku założyłem misyę w Budingi, w kraju Busoga, która obecnie rozwija się nader pomyślnie. Szkoły działają tam z dobrym skutkiem. Setki uczniów przechodzi je systematycznie. Powodzenia te nie są jednak w stanie zatrzeć straszliwej klęski, która przez kilka miesięcy z rzędu wyniszczała stacyę misyjną. Musiałem użyć zeszłego roku wszystkich zapasów pieniężnych, aby ocalić od śmierci głodowej moich ukochanych Usogów. Odniosłem się natenczas z usilną odezwą do mych dobroczyńców, a otrzymane od nich jałmużny pozwoliły mi pokryć długi zaciągnięte w czasach klęski. Uprosiłem również rząd, aby nam przybył z pomocą. Po niejakiej zwłoce nadeszła pomoc ta w istocie, a 8.000 funtów szterlingów, które nam wydzielono, dostarczyły żywności zgłodniałym. Wysyłałem misyonarzy do zaludnionych wsi, aby wydzielali każdego dnia żywność. Pomimo wszelkich wysiłków, zginęło jednak podczas tej strasznej klęski głodowej 25.000 murzynów. Na szczęście tegoroczne zbiory zapowiadają się pomyślnie, co bardzo byłoby pożądanem dla wzmożenia ogólnej zdrowotności.

Troszczę się obecnie o los dwóch nowych stacyi misyjnych, które zamierzam otworzyć z końcem bieżącego roku. Musiałem wezwać nowych misyonarzy. Za mało mamy tutaj, niestety, rąk dla zyskiwaia dusz Panu Jezusowi! Otoczeni jesteśmy zewsząd współzawodnikami, a nie brak i innych przeciwności. Rząd co prawda zasila nas małym datkiem, o ile pierwsi rozpoczynamy ewangelizacyę jakiegoś plemienia, lecz misye protestanckie daleko są silniej popierane i hojniej wspomagane. Jakaż boleść dla nas katolików, gdy uświadomimy sobie naszą niemoc w walce z amerykańsko-protestanckiemi misyami! Pastorowie są bogaci i liczni, a jednak my z tem pogodzić się nie możemy, aby najbardziej zaludnione środowiska pozostały w rękach protestantów.

Oto trochę szczegółów z naszych placówek misyjnych. A teraz kończę już ten długi list i pozostaję zawsze szczerze oddanym sługą w Jezusie Chrystusie.

MISYA „MÉRODE SALVATOR."
(Wikaryat apostolski Kongo belgijskiego).

Śpiączka.

W. O. Boghe man, z Kongregacyi Ojców z Scheut, przedstawia Czytelnikom naszym w sposób przejmujący klęskę, jakiej uległa misya i okolice poblizkie.

Misya Mérode Salvator założona po raz pierwszy w r. 1894, z konieczności została opuszczoną; w r. 95 zniszczyli ją zbuntowani żołnierze z plemienia Batetelas. W r. 1897 przywróciliśmy ją do dawnego stanu. Straszna choroba, śpiączką zwana, spadła przed siedmiu czy ośmiu laty na te strony, tysiące zabierając ofiar i grożąc wyludnieniem kraju, jeżeli Pan Bóg prędko nie przyjdzie z pomocą, czy to bezpośrednio, czy zsyłając lekarstwo skuteczne, któreby temu położyło koniec. W swoim czasie misya liczyła 1.000 osób, teraz wszystko znikło z małymi wyjątkami. Miejsce nieobecnych zajęli inni, ale i na tych kolej przyszła, i oni zgaśli. Obecnie jest zaledwie około 450 osób. Choroba ta nie oszczędza nikogo, ani dorosłych, ani małych, ani silnych, ani słabych. Dla tych, co nią zostali dotknięci, niema nadziei uchylenia się od śmierci.

Śpiączka zaczyna się od nieznośnego bólu głowy; niektórzy odczuwają ból ten w szyi i w plecach; inni uskarżają się na ogólne niedomaganie. Po kilku dniach następuje polepszenie na to, aby w kilka tygodni choroba znów górę wzięła. Po kilkakrotnej recydywie i pozornem odzyskiwaniu zdrowia, dochodzą oni do takiego ogólnego sił upadku, że nie mogą już ruszyć się ze swej maty, aż do chwili, w której śmierć przyj-

dzie położyć koniec ich cierpieniom. Serce murzyna nie zna co litość lub współczucie, chyba, że idzie o kogoś wyjątkowo mu blizkiego. Opuszczają tu chorych, wypędzają ich nieraz nawet, skazując tym sposobem na śmierć z głodu i nędzy pod gołem niebem; to też nierzadko widzi się zwłoki ludzkie leżące wzdłuż drogi. Żeby zaradzić temu, pozakładaliśmy szpitale, gdzie ci biedacy znajdują schronienie i opiekę; w celu zaś zachęcenia krajowców do przynoszenia nam chorych, dajemy za każdego po kawałku tkaniny.

Zajrzyjmy teraz do wnętrza jednego z tych szpitali, gdzie utrzymujemy niekiedy setkę pacyentów. Wszyscy dotknięci tą samą chorobą, tylko pod różnemi postaciami. Jedni z nich tak chudzi, że zostały z nich tylko skóra i kości, inni monstrualnie opuchnięci; jedni spokojni są i zrezygnowani, inni — nieznośni, gotowi do sprzeczki ze wszystkimi; jeszcze inni dostają obłędu, biją, niszczą wszystko, a nawet podpalają. Wszyscy zaś absolutnie nie dbają o jakiebądź staranie koło swej własnej nawet osoby. Ręce i nogi zjedzone mają przez kleszcze, na najmniejszy chłód bardzo są wrażliwi, obawiają się świeżej wody i gdy ich nikt nie zmusza, nie umywają się wcale; brudni też są i obrzydliwi, pokryci ranami, szerzący woń bynajmniej nie miłą. Zrana, gdy uczują ciepło słoneczne, decydują się wyjść na powietrze i wówczas podaje się im posiłek. Po spożyciu go wyciągają się na macie i pogrążają się w głębokim śnie aż do chwili, gdy świeży powiew wieczorny zbudzi ich, przynosząc nieco ulgi w cierpieniach. Jest to pora kolacyi. Posilają się wówczas po raz drugi codziennie.

Zbawienie dusz tych biednych ludzi: oto główne nasze zadanie! Dla sprostania posłannictwu temu najchętniej życie nasze Bogu niesiemy w ofierze. Misya wszakże obok tego bierze na siebie i wielkie wydatki, ciąży bowiem na niej: budowa szpitali, wykup chorych, żywienie ich i dostarczanie wszystkiego, czego potrzebują. Czyż nie byłoby w najwyższym stopniu bolesne zaniedbanie, choćby w części tylko, z powodu braku funduszów, dzieła, które tyle dusz wydziera szatanowi? Najprzewielebniejszy O. Generał naszego Zakonu pisał niedawno z Scheut, iż należy zmniejszyć wydatki wobec tego, że koszta powiększają się ciągle z powodu rozszerzenia się misyj naszych i większej ilości misyonarzy, o których utrzymaniu myśleć trzeba. Wobec tego pozwalam sobie polecić Waszemu miłosierdziu chorych naszych i prosić Was o środki na ich utrzymanie. Wszelka pomoc przyjęta będzie z najserdeczniejszą wdzięcznością. Polecam również i modlitwie nawrócenie murzynów, powierzonych naszej pieczy. Oby światło Wiary św. rozproszyło ciemności ich błędu, a święte prawdy religii zastąpiły śmieszne ich przesądy!

Wiadomości ze Św. Kongr. Rozkrzewiania Wiary.

Ojciec św., na przedstawienie Św. Kongregacyi Rozkrzewiania Wiary raczył ustanowić nową prefekturę apostolską Katanga w Kongo belgijskiem. Prefektura ta obejmuje terytoryum znajdujące się między rzekami Lualabą na zachód, a Luwuą i Luapulą na północo-wschód i na wschód. Na południu i na wschodzie od źródeł Lualaby do źródeł Luapuli, wypływającej z jeziora Bangweolo, linię, oddzielającą to terytoryum, stanowić będzie granica polityczna między Kongo belgijskiem a angielską Rodezyą.

Administracya tej nowej prefektury powierzoną została zakonowi OO. Benedyktynów prowincyi belgijskiej. Na prefekta apostolskiego naznaczony W. O. Jan de Hemptine, zakonnik z Opactwa św. Andrzeja w Lophaules-Bruges w Belgii.

Drobne wiadomości misyjne.

Opactwo Benedyktyńskie w Katandze. Oddawna już Benedyktyni belgijscy brali udział w ruchu apostolskim. wyprowadzającym daleko po za granice kraju zakonników różnych kongregacyj. Zniewolony okolicznościami, zdecydowany ostatecznie wskutek woli Ojca św., Msgr Van Caloen przyjął propozycyę rządu belgijskiego i przedsięwziął założenie Opactwa OO Benedyktynów na wysokiem płaskowzgórzu Katanga w Kongo belgijskiem.

Opactwo św. Andrzeja (z Lophaules-Bruges), obsługujące instytucye Benedyktyńskie w Brazylii, podwoi zatem działalność cywilizacyjną i część swych zaciągów apostolskich skieruje na kontynent czarny.

W sobotę, 28 maja, w pałacu brukselskim król przyjął na audyencyi prywatnej Msgra Van Caloen'a i Dom Jana Hemptine'a.

Ze szczególną podniosłością poglądów. naszkicował władca program działania w Katandze: zakonnicy stworzą tam potężne ognisko wpływu religijnego i fortecę cywilizacyi.

Wśród wskazówek, których król udziela z dokładnością i pewnością, świadczącą, jak dobrze jest poinformowany, miło mi szczególnie podkreślić jedną, a mianowicie: pozostawienie języka krajowcom i nieprzeobrażenie ich w Europejczyków. Chcąc cywilizować lud jakikolwiek odbierając mu narodowość, fałszywą poszłoby się drogą.

OO. Kapucyni w Kongo. Prowincya belgijska Braci Mniejszych (Kapucynów) przyjęła ostatecznie nową misyę na obszernej przestrzeni Konga. Podejmie się ona ewangelizacyi okręgu Ubangi, strony bardzo zaludnianej, ale gdzie wpływ europejski minimalny był dotąd.

Natychmiast z pięćdziesięciu zakonników nalegało. by przeznaczono ich do ewangelizacyi czarnych, chociaż zawczasu wiedziano, że sześciu tylko misyonarzy odpłynąć może w roku bieżącym. („Chroniques du Carmel").

Rodezya półn.-wsch. W. O. Casset S. J. pisze: „Kapliczka nasza, to mały pokoik 44 × 14 stóp, a że misya liczy więcej, niż 300 chrześcijan, niema czem oddychać.... Oczyściliśmy grunt pod kościół, przygotowaliśmy wapno, a teraz fabrykujemy cegłę, ale potrzebny nam materyał dla mularzy, robota

ciesielska i dach. Ze wszystkich plemion, którym głosiliśmy Ewangelię w misyi nad Zambezą, plemię Batongów odznacza się największą prostotą, łagodnością, najbardziej jest wstrzemięźliwe i największą okazuje ufność. Katechumeni przychodzą o 10 mil przez bagna i trawy wysokie na 6 do 8 stóp. W dzień Chrztu św. przykrywamy ich nagość: koszula, mały szal, kawałek tkaniny, to — niewiele, a jednak to kosztuje tutaj 3 do 4 franków. Dzięki Bogu, dobre deszcze położyły koniec klęsce głodowej, dotykającej ten kraj od 6-ciu miesięcy. Uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy, żeby pomódz głodnym. Czterdzieści, czy pięćdziesiąt kobiet i dzieci pracowało na naszych polach; porcya kukurydzy była jedynem pożywieniem całej rodziny. Dajemy im jednak coś więcej, niż pomoc tymczasową; uczymy młodych ludzi tresować woły i posługiwać się pługiem; gdy zaś będą mieli po jednym choćby pługu na każdą wieś, głód nie będzie zdarzeniem powtarzającem się co roku. Tymczasem wytresowaliśmy wielką ilość wołów należących do krajowców i zaoraliśmy pola dla kilku rodzin. Sądzę, że to najracyonalniejszy sposób przychodzenia z pomocą temu biednemu ludowi. O cztery mile stąd, misya protestancka posiada już cztery kaplice-szkoły, my nie mamy ani jednej z powodu braku funduszów, ale Bóg nas nie opuści!“

Nowa klęska głodowa w Rodezyi wschodniej. O. Torrend T. J. podaje nam następujące bolesne szczegóły:

„Po wyjątkowej posuszy w roku ubiegłym, której następstwem był głód pozbawiający mieszkańców częściowo życia, częściowo zaś zdrowia i sił fizycznych tak dalece, iż nie byli w stanie utrzymać w dłoni motyki lub rydla — nastąpiły tak ulewne i długotrwałe deszcze, iż zamiast poprawić urodzaje, zalały znaczną część uprawnej roli, pomiędzy innemi pola bawełny, na które liczyli misyonarze najwięcej. Ponowna zatem klęska głodowa zagraża krajowi temu, jak i nowo rodzącej się misyi.

A oto na dobitek wszyscy wodzowie, nawet najbardziej wpływowi, nakłaniają swych ludzi na jakie 40 mil w około, by oddawali wszystkie swe dzieci do misyj katolickich! Misyonarz goniąc sam resztkami, zmuszony jest, chociaż ze łzami w oczach, zamykać drzwi przed tym drobiazgiem, który dawniej uciekał od niego, obecnie zaś oblega go, chciwy pouczenia i pracy dostosowanej do sił i wieku, którą tak chętnie wykonuje w zamian za kawałek chleba. Niektóre z tych dzieci ukazują mi swe medale katechumenów. Lecz i tym nawet odmawiać muszę. Któż pospieszy misyonarzowi z pomocą w tej jego potrzebie dojmującej?“

Z Tanganiki. O. Waesberg pisze: „W Kate, w dzień Wniebowzięcia przyjął Chrzest św. sułtan Ufipy Kilatu wraz z żoną, siostrą, szwagrem i znacznym zastępem podwładnych. Jest to zdarzenie doniosłe dla całego wikaryatu, gdyż sułtan Kilatu rządzi dość rozległym krajem i posiada niezaprzeczone wpływy. Cztery misye są na jego terytoryum. Nawróceniem tym ujawnił dowodnie Bóg, jak bardzo miłemi są Mu modlitwy o nawrócenie bliźnich, gdyż jeżeli sułtan Kilatu jest dzisiaj chrześcijaninem, to łaskę tę zawdzięcza z pewnością nie czemu innemu, jak modlitwom i dobrym uczynkom dwu swoich sióstr, które są zakonnicami krajowemi. Przykład królewskiej rodziny zjedna z pewnością wielu niewierzących naszej Wierze św.“

Monrowia. O. Kyne, Prefekt ap. Liberyi, pisze: „Pragnę przedłożyć wam mój zamiar założenia w najbliższej przyszłości misyi wśród szczepu Pessisów. Jest to najliczniejszy ze wszystkich szczepów Liberyi, liczy bowiem 300.000 dusz i obejmuje przestrzeń całej środkowej rzeczypospolitej. Jest to lud zupełnie pierwotny, wśród którego muzułmanie nie pozyskali sobie dotychczas zgoła adeptów. Niewolnictwo w zasadzie obalone, prakty-

kowane jest jednak jeszcze, zwłaszcza we wnętrzu kraju. Misya ta miałaby więc nader doniosłe znaczenie dla przyszłości całego kraju, w którym nieraz już tego rodzaju próby pełzły na niczem. Upływa wkrótce trzy lata, jak przybyliśmy tutaj; założyliśmy w przeciągu tego czasu trzy misye: jedną z nich poświęconą Najśw. Sercu Jezusowemu w Kekru, drugą Niepokalanemu Poczęciu w Krakero (Monrowia), ostatnia zaś wśród Pessisów poświęcona będzie św. Józefowi, który zapewne nie odmówi jej swej opieki. Oto więc, drodzy Czytelnicy, mamy przed sobą jedno dzieło więcej do dokonania na cześć Wielkiego Patryarchy!“

W następnym liście tenże sam Prefekt apostolski donosi co następuje: „Rozpoczęliśmy już pracę w trzeciej stacyi. Pokolenie Pessis liczne jest i dobrze usposobione, a nadewszystko doskonały punkt zamieszkujące, samo serce kraju. W Kekru plemię Golas ociąga się jeszcze, ale modlitwa, cierpliwość i duch ofiary dopomogą nam do odniesienia zwycięstwa. Tyle jest innych miejsc, gdziebyśmy mogli osiąść i gdziebyśmy niezmierne czynić mogli dobro, gdybyśmy mieli potrzebne środki i dostateczną ilość pracowników. Od Basasów i Kronsów otrzymujemy też wezwania.

Oby Pan Bóg dał nam możność odpowiedzenia temu prędko!“

* * *

O. Le Scao, misyonarz w Kongo fr., poleca modlitwom Sz. Czytelników prośbę o łaskę wytrwania dla parafian i o łaskę nawrócenia dla kilkunastu dziewcząt.

Kronika Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

Rzym, *21 sierpnia.* O. Hieronim Apolloni, z Kongregacyi św. Józefa, odwiedził nas w towarzystwie trzech młodych murzynów. Są to katechumeni, którzy dopiero w Turynie, po dostatecznem przygotowaniu, dostąpią łaski Chrztu św. Ludzie ci cierpieli już wiele w swojem młodem życiu. W głębi Afryki porwali ich handlarze niewolników i wlekli aż na Wybrzeże, gdzie wkońcu dostali się drogą wykupu w ręce misyonarzy.

O. Apolloni opowiedział także nieco pocieszających szczegółów o stacyi misyjnej w Bangasi, która ma zresztą drogę usłaną cierniami. Mimo niezliczonych trudności udzielili misyonarze Sakramentu Chrztu św. przeszło 300 dzieciom i kilku dorosłym; fanatyzm mahometan grozi im każdej chwili śmiercią. „Kto chce tam zostać chrześcijaninem, musi być gotowy na śmierć męczeńską“ — powiedział O. Apolloni.

W Bytomiu, na Śląsku, miał w kościele parafialnym Św. Trójcy O. Assmann T. J. wobec tysięcy zgromadzonego ludu kazanie o misyach i ich wspieraniu. Kapłan ten, gorliwy rzecznik sprawy misyjnej, darzy także Sodalicyę św. Piotra Klawera uznaniem i życzliwością.

ODCINEK.

WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA.

DRAMAT W TRZECH AKTACH PRZEZ M. T. LEDÓCHOWSKĄ.

(Ciąg dalszy).

AKT TRZECI.

Pokój jadalny — jak w akcie pierwszym. — Na stole rozłożone rozmaite podarki, zabawki i t. p., nakryte dużą chustką. W głębi pokoju, po lewej stronie, stoi jodełka przybrana kolorowemi świeczkami, łańcuszkami z papieru, łakociami i złoconymi orzechami. Przed drzewkiem stoi duża szopka, w której spoczywa naturalnej wielkości Dziecię Jezus. Na kraju stołu cztery talerze z łakociami powiązanemi kolorowemi nitkami. Z talerzy tych bierze Ludwika po jednym cukierku i obwiesza nimi gałązki drzewka.

SCENA I.

LUDWIKA *(sama)*.

Ludwika Tak, chwilka jeszcze, a wszystkie łakocie zawisną na drzewku. Karolek obwiązał cukierki białą wełną, Marychna żółtą, Staś niebieską, a panna Róża pozostała wierną ulubionej czerwonej barwie. Już to ona od dzieciństwa za nią przepada. Czy też to upodobanie nie kryje przypadkiem jakiegoś w sobie znaczenia? Gdyby dzień dzisiejszy był dniem zaręczyn, powiedziałabym: nie dziw, czerwona barwa miłości jest gońcem! Ale do zaręczyn u nas, zdaje się tak daleko, jak mnie do cesarza chińskiego! Nie można powiedzieć, ażeby nasz wieczór wigilijny zapowiadał się wesoło. Szkoda było tego wspaniałego karpia, tak go wszyscy tylko przełknęli, nie smakując ani troszeczkę. Pan nachmurzony, pani nerwowa, dzieci niespokojne i niecierpliwe, ani mowy o tej miłej wesołości, jaka u nas bywała. Jedna tylko panna Róża, tak, ta jedna wydaje się pogodna i tak serdecznie uradowana odkąd wróciła z tej „Socyalicyi“. Co jej się też tam takiego przydarzyć mogło? Zwierza mi się zwyczajnie ze wszystkiem. Czyżby zaręczyła się sama? Jednoosobowe zaręczyny, takich przecie niema na świecie! A kto wie, czy właśnie takie nie byłyby najlepsze. Jeszcze jak byłam dzieckiem, myślałam sobie zawsze: gdyby też to można wyjść za mąż i być kobietą bez męża, tylko z gronkiem dzieci, to bym ja pierwsza była nie od tego! Ach, ci mężczyźni! To takie zło, co być musi koniecznie!

SCENA II.

LUDWIKA. — RÓŻA.

Róża *(wchodzi z koszykiem wina nakrytym chustką. — Do Ludwiki:)* Czy ukończyłaś Ludwiko? Rodzice chcieliby już zapalać świeczki. Postawię tylko ten koszyczek przy rzeczach przeznaczonych dla ojca. *(Wsuwa koszyczek pod osłonę pokrywającą stół).* A teraz poproś rodziców i Henryka.

Ludwika. Słówko jedno, panno Różo. Nie miałam jeszcze czasu zapytać, jak też się panience podobało w tej „Socyalicyi"?

Róża *(z uśmiechem).* W Sodalicyi? O tak, bardzo! To byłoby coś dla ciebie, Ludwiko. Musisz tam kiedy zajść w święta. Będziesz się dopiero radować! Ale daruj, że nie opowiem ci teraz tego wszystkiego, co mnie tam spotkało. Dzieci tak są zniecierpliwione, że gotowe jeszcze coś zbroić.

Ludwika. Idę już.

SCENA III.

RÓŻA *(sama).*

Róża. Zacna, wierna dusza! Gdyby wiedziała, jak dalece odwiedziny te rozstrzygnęły o przyszłości jej Róży! Mnie samej wszystko to, co widziałam i słyszałam, wydaje się jak gdyby snem jeszcze. A jednak nie, nie, to nie był sen. Dźwięczą mi bezustannie w uszach słowa Ojca Misyonarza. Nie daje mi spokoju myśl, którą tam powzięłam. Czyżbym miała ziścić ją w istocie? Czyż miałabym się dla niej wyrzec tak zazdrośnie strzeżonego, tak oddawna piastowanego, serdecznego mego planu? Jak lśniące „fata morgana" stawały przed oczyma mej duszy dalekie lądy Afryki, i jak głos syren dźwięczał mi w uszach wesoły szczebiot murzyńskich dzieci. I widziałam już siłą wyobraźni, siebie w ich gronie, pielęgnującą, uczącą i urabiającą ich duszyczki; to znowu jadącą konno w towarzystwie jednej z wiernych Sióstr współtowarzyszek, dążącą do chorych w ich chatach, krzepiącą jednych, drugim opatrującą rany. A czasami danem nam było polać w marzeniu konające dzieciątko wodą odrodzenia i otworzyć mu niebo. O błogie chwile przeżyte duchem tyle — tylekroć razy, chociaż nie danem mi było przeżyć was w istocie! Czyście wy już pierzchły na zawsze? I czemże ja was zastąpię? Życiem wiary i nadziemskiej nadziei, życiem szarem, wzgardzonem w obliczu świata, lecz wielkiem i wzniosłem w oczach Pana. Życiem wyzutem z wszelkiego uroku fantazyi i ideału dla tych, którzy go zrozumieć nie mogą,

lecz szczytnem dla powołanych; życiem dającem możność zachowania na zawsze czystej i nienaruszonej miłości Boga, nie oglądającej się na zapłatę wdzięcznej miłości ludzkiej; życiem wewnętrznego zaparcia siebie, gdyż Sodaliska św. Piotra Klawera składa najczęściej w ofierze swe pragnienia bezpośredniej działalności misyjnej; życiem na wzór Zbawiciela naszego, który nie podążał Sam w daleki świat, by głosić Ewangelię, lecz pozostał w Palestynie urabiając bojowników apostolskiego powołania. Boże mój! czyż wahać się mogę jeszcze, którą z tych dwóch dróg Twoich obrać powinnam? Czyżeś mi przez zbieg okoliczności nie objawił aż nadto jasno Swej Woli najświętszej? A więc najpierw przez opór rodziców, następnie przez spotkanie ze sługą Twoim, Ojcem misyonarzem, i przez wyrok, jaki dyktuje mi własne sumienie i rozsądek? Chociaż się więc serce wzdryga jeszcze i krwawi — nic to! Wszak do męczeństwa wzdychałaś Różo nieraz, oto je masz, weź je na swe barki ochotnie! *(Pada przed szopką na kolana).* O Ty, Drogie, Ukochane Dziecię Jezus! Przysięgam Ci oto u Twoich stóp: chcę odtąd jedynie tego, czego Ty chcesz, a niczego, czego Ty nie chcesz. Gdybyś mnie był powołał do Afryki, poszłabym była z radością za Twojem wezwaniem, chcesz, abym Ci służyła tutaj nie jako misyonarka, lecz jako ich pomocnica, otom gotowa czynić to, Panie. A proszę Cię tylko o jedno: pozwól mi, ażebym zasługi drogocennej Krwi Twojej, którą już na wstępie jako niewinne dziecię przelałeś za nas, skierować umiała na korzyść tych najbiedniejszych braci naszych i sióstr! Dozwól mi, ażebym się zdołała przyczynić do rozszerzenia królestwa Twojego w Afryce, gdyż Królem jesteś, Królem nietylko serca mojego, lecz całego świata!

(Henryk, który w chwili kiedy Róża uklękła przed szopką wszedł przez jedne z bocznych drzwi do pokoju, zatrzymuje się i patrzy na nią z żałością).

SCENA IV.

RÓŻA. — HENRYK.

Róża *(ujrzawszy Henryka wstaje zmieszana).* O Henryku, tak się czynić nie godzi!

Henryk. Nie potrzebujesz się tego wstydzić. Złożymy wkrótce wszyscy hołd Zbawicielowi świata. Pozwól Różo, jedno słowo powiedzieć chciałem ci jeszcze. Rodzice idą tuż za mną, czy mógłbym ci wobec nich być jakkolwiek pomocnym?

Róża (*wzruszona*). Dziękuję ci, Henryku! Ten oto (*wskazuje na żłóbek*) ułożył już wszystko miłościwie i pogodził. Mam nadzieję, iż dziś jeszcze otrzymam pozwolenie, które zapewni mi szczęście!

SCENA V.

POPRZEDNI. — PAŃSTWO RÓŻYCCY. *(Oboje trzymają w rękach zapalone stoczki, którymi zaczynają zaświecać świeczki na drzewku. Pomaga im Henryk. Róża odsłania leżące na stole podarki, przestawiając je jeszcze cokolwiek).*

Róża. Drogi ojcze, proszę nie bardzo patrzeć w moją stronę!

Pan Różycki. Nie obawiaj się.

Róża. Proszę także kochaną mamę i Henryka, ażeby zechcieli na chwilkę nic nie widzieć!

Pani Różycka. Dobrze, dobrze moje dziecko, ale i ty musisz to uczynić, gdyż i dla ciebie znajduje się mała na stole niespodzianka.

Róża. O, ja nie posłałam do aniołków żadnego pod tym względem życzenia! Objawię je dopiero pod drzewkiem. I nie będzie was ono kosztowało nic więcej, jak tylko proste „tak“ lub „nie“.

Pan Różycki (*do siebie*). Znowu wraca do swego szalonego zamiaru. Gotowa nam jeszcze popsuć świąteczną chwilę.

(Tymczasem zapalono wszystkie świeczki).

Pani Różycka. A teraz mogłabyś już Różo przywołać dzieci, Ludwikę i kucharkę.

(Dokończenie nastąpi).

ODPUST ZUPEŁNY,

którego w listopadzie dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

Dnia 30 listopada w uroczystość św. Andrzeja Apostoła.

Warunek: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

Zamknięcie redakcyi 1 października 1910.

Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.
Redaktor odpowiedzialny: ***Zofia Popielówna.***

W Krakowie. — Drukarnia „Czasu“ pod zarządem A. Świerzyńskiego.